

Reiner Stach

KAFKA. WCZESNE LATA
1883–1911

Przełożył
Ryszard Wojnakowski



Początek przedstawienia

Bóg handluje zawsze hurtowo.
KIERKEGAARD, *STADIER PAA LIVETS VEI*

Stare centrum Pragi to swego rodzaju scena: rozległa, zajmująca prawie hektar, dostępna z wielu stron, ale proporcjonalnie rozczłonkowana i łatwa do ogarnięcia wzrokiem w stopniu wystarczającym, aby obserwator miał wrażenie odgraniczonej i symbolicznie podwyższonej przestrzeni. Na Rynku Staromiejskim, bo tak nazywa się ten teren, skupia się jak w soczewce energia społeczna całego regionu.

Już u progu czasów nowożytnych mieszkanie w pierwszym rzędzie domów przy Rynku uchodziło za przywilej. Kiedy Praga przestała odgrywać rolę w biegu dziejów i całe Czechy były tylko pionkiem w grze obcych dynastii, miejscowy Rynek pozostał wielką publiczną areną. Tam odbywał się targ, tam załatwiano interesy pod gołym niebem i rozstrzygano polityczne spory, tam widywało się pewnych ludzi i było się widywanym, a ponieważ nierzadko słyszało się dźwięk obcych dialektów i języków, nie brakowało poloru światowości, który przykrywał faktyczną utratę znaczenia przez miasto. Prażanie wiedzieli, że ich otoczony wspaniałymi budynkami Rynek cieszy się sławą w Europie, i byli oswojeni z widokiem podróżnych, którzy przyjeżdżali z daleka tylko po to, żeby oglądać oszałamiające чудо: wielki astronomiczny zegar przy staromiejskim ratuszu. „Miasto Praga”, jak objaśniał przewodnik dla podróżnych, wydrukowany w trakcie wojny trzydziestoletniej, który już w pierwszym

zdaniu kierował uwagę czytelników na najważniejszy punkt, „leży na prawym brzegu Wełtawy, w rzecznej dolinie, a w tymże mieście zobaczyć można wiele wspaniałych budowli, wśród których wyróżnia się szczególnie ratusz, mający wysoką wieżę, a na jej ścianie nader kunsztowny zegar, tego rodzaju, że jeśli mowa o walorach artystycznych, to w całym świecie trudno znaleźć drugi taki [...]”¹. Kiedy te słowa ukazały się drukiem, zegar miał już ponad dwieście lat, a w owych niepamiętnych czasach, gdy ruszyły jego wskazówki metrowej długości, Praga była siedzibą cesarza.

W dziejach Pragi Rynek Staromiejski nierzadko służył jako scena społeczna w sensie dosłownym. Plac przecinały procesje, rozbrzmiewały tu polityczne przemówienia, w tym hołdy i nienawistne tyrady. Na Rynku wznoszono pomniki, odbywały się demonstracje, wygłoszono niejedną odezwę, nierzadko witaną z entuzjazmem. Gdy ktoś obejmował władzę w Pradze, prezentował się na Rynku – zdarzało się to jeszcze w XX wieku, kiedy wykorzystywany jako promenada plac Waława dawno już przyćmił poprzednie centrum i zdegradował je do roli historycznej osobliwości. W lutym 1948 roku początek monopartyjnych rządów komunistów celebrowano więc przed kulisami Rynku Staromiejskiego – co jednak, jak się wkrótce potem okazało, nie było szczęśliwym pomysłem. W ten sposób puczyści dotknęli bowiem boleśnie nerwu zbiorowej pamięci, w którą wryła się znacznie brutalniejsza inscenizacja, inscenizacja pochodząca sprzed ponad trzystu lat, a mimo to doskonale znana każdemu czeskiemu gimnazjaliście. Instalacja nowego reżimu, która dokonała się na Rynku Staromiejskim, z publicznymi torturami, stryczkiem i katowskim mieczem.

W nocy z 20 na 21 czerwca 1621 roku na praskiej Starówce panowało pełne strachu napięcie. Prawie nikt nie mógł zasnąć, wymieniano szeptem uwagi i modlono się wspólnie, sprawdzano rygle w drzwiach i nasłuchiowano usilnie, co się dzieje na zewnątrz, gdzie odgłosy wojenne zapowiadały potworności nadchodzącego dnia. Nowi panowie w służbie dynastii Habsburgów wprowadzili zakaz

wychodzenia, setki uzbrojonych ludzi z pochodniami, szczękając żelastwem, patrolowały ulice, żeby zabić na miejscu każdego, kogo schwytają. Liczne pochodnie oświetlały również Rynek Staromiejski, a tamtejsi mieszkańcy godzinami dygotali ze strachu, słysząc uderzenia młotów cieśli, którzy przy samym ratuszu budowali scenę o wysokości dwóch i pół metra i powierzchni trzystu metrów kwadratowych. Tego rodzaju sceny nazywano „szafotem”, a przerażonym mieszkańcom Pragi obwieszczono już jasno i wyraźnie, jakie przedstawienie będzie tu dawane za kilka godzin.

Prażanie zaryzykowali, zbuntowali się i przegrali. Był to protest zarówno natury religijnej, jak i politycznej, aby móc się wyrwać z narastającej dominacji katolickich Habsburgów, protest czeskich stanów przeciwko absolutyzmowi, przybierającemu wtedy konkretne formy. Jak daleko miał się posunąć ten opór, co do tego szlachta, protestanci duchowni i mieszczaństwo nie byli zgodni, ale w maju 1618 roku prascy przywódcy postanowili spalić za sobą wszystkie mosty i sprowokować otwartą wojnę: zwyczajnie wyrzucili przez okno praskiego zamku dwóch katolickich namiestników i ich skrybę, a na dodatek posłali za nimi kilka kul. Ten bynajmniej nie spontaniczny, tylko starannie zainscenizowany akt przemocy wyśmiewano w całej Europie jako lokalną burleskę (zwłaszcza że trzy ofiary odniosły jedynie lekkie obrażenia), ale w następnym roku stało się jasne, że czeskie stany i ich sprzymierzeńcy na Morawach i Śląsku traktują sprawę bardzo serio i że trzęsą fundamentami europejskich struktur władzy: zdetronizowali Habsburga Ferdynanda II jako króla Czech (niewiele dni przed jego wyborem na cesarza) i na jego miejsce wynieśli na tron księcia elektora Palatynatu, zdeklarowanego kalwinistę, który sam siebie mianował „rycerzem krzyżowym protestantyzmu”.

Nadzwyczaj skomplikowane akcje dyplomatyczne i wojskowe, jakie nastąpiły, doczekały się wielu popularnonaukowych opracowań i należą dziś do ruchomych piasków specjalistycznej wiedzy historycznej. Owo wyrzucenie przez okno (prawnicy mówili wytwornie o praskiej defenestracji) miało się stać zarzewiem poza-

ru, który ciągnął się przez kilkadziesiąt lat i strawił oraz wyludnił duże części Europy Środkowej, a wręcz wyrzyta w kolektywnej pamięci została straszliwa klęska poniesiona przez powstańców w ostatecznej rozgrywce w listopadzie 1620 roku. Niespełna dwie godziny trwała bitwa pod Białą Górą, na płaskowyżu niewiele kilometrów od centrum Pragi, a skończyła się druzgocącą klęską kiepsko opłacanych wojsk czeskich rebeliantów, pośpieszną ucieczką kalwińskiego zastępczego króla Fryderyka Palatyńskiego (który przeszedł do praskiej historii pod przezwiskiem „króla zimowego”) i ogromnym triumfem Ligi Katolickiej. Bitwa pod Białą Górą – według czeskiego przekazu – była początkiem trwającego trzy stulecia okresu mroku (*temno*), a więc epoki katolickich Habsburgów, którzy nie tylko zapewnili sobie w Czechach absolutystyczne panowanie, ale także już na wstępie dali Czechom krwawą przestrozę.

I faktycznie, jako ranę na ciele narodu interpretowano później nie tyle klęskę wojskową, za sprawą której wiele kolejnych pokoleń w Czechach wzrastało w przekonaniu, że ma wciąż otwarty rachunek z „wiedeńczykami”, ile fatalną strategię zwycięzców, polegającą na tym, żeby nieustannym upokarzaniem dusić w zarodku wszelką myśl o ponownej rebelii. Ferdynand II nie zadowolił się wywłaszczaniem i wypędzaniem z kraju tych z protestanckiej szlachty, na których padł choćby cień podejrzenia o udział w powstaniu – poza tym zmuszał podejrzanych, by donosili na siebie, żeby uniknąć kata. Równie brutalnym ciosem było to dla niekatolickich duchownych, gdyż nowy reżim niedługo bawił się w dostrzeganie różnic między umiarkowanymi luteranami i radykalniejszymi kalwinistami, husytami czy anabaptystami. Ogłoszony zaledwie dziesięć lat wcześniej list majestatowy cesarza Rudolfa II, na który powoływali się wściekli protestanci i który zapewniał im nieskrępowane wypełnianie praktyk religijnych, Ferdynand nie tylko ignorował, lecz własnoręcznie zniszczył wraz z cesarską pieczęcią. I nie poprzestał na ukaraniu zgodnie z prawem tych inicjatorów powstania, których udało się areszto-

wać, lecz ustanowił w Pradze specjalny trybunał, depczący czeski porządek prawny i podlegający wyłącznie politycznym poleceniom z Wiednia. W końcu zainscenizował egzekucję pozbawionych wszelkich praw oskarżonych w tak okrutny sposób, że zaszczerpił wielopokoleniową nienawiść do Habsburgów nawet wielu apolitycznym obywatelom, którzy nie chcieli już słyszeć o powstaniach i woleli dogadywać się z nowymi panami.

Skazanych na śmierć dwudziestu siedmiu mężczyzn – prawie wszyscy o siwych skroniach, większość więziona na praskim zamku – przewieziono do staromiejskiego ratusza, żeby byli punktualnie na miejscu, kiedy rozpocznie się przedstawienie. Trzech pochodziło ze stanu szlacheckiego, siedmiu z rycerskiego, siedemnastu z mieszczańskiego, a najwybitniejszym z nich był rektor praskiego uniwersytetu, doktor Jan Jessenius (Jesenský). Kiedy się rozwidniło, w posepnym przepychu ukazał się przykryty czarnym materiałem szafot i pierwsi gapie zaczęli ostrożnie zbliżać się do miejsca spektaklu. Około godziny piątej rozległ się z zamku wystrzał armatni, na znak rozpoczęcia pierwszego aktu. Miejsca zajęli mianowani przez Wiedeń sędziowie procesu pokazowego, obok nich najbardziej zasłużeni katolicy dowódcy wojskowi, w tym Albrecht von Waldstein (alias Wallenstein). Na scenę wszedł przeszkolony medycznie kat o nazwisku Jan Mydlář – jego nazwisko przetrwało – w towarzystwie kilku zamaskowanych pomocników, którzy nieśli naostrzone miecze. Potem jako pierwszy został wprowadzony na szafot, wyprostowany i bez kajdan, skazaniec najwyższy rangą w hierarchii społecznej: pięćdziesięciodwuletni Joachim Andreas hrabia Schlick, jeden z odpowiedzialnych za praską defenestrację. Jezuicki duchowny, na którego nachalność Schlick skarżył się już poprzedniego wieczoru, podjął ostatnią próbę religijnego nawrócenia, lecz został odprawiony. Resztę załatwił kat, który dwoma ciosami zamienił klęczącego hrabiego w zewłok: najpierw odrąbał mu głowę, potem prawą rękę. Pomocnicy odnieśli na bok ciało, które zawinęli w chusty.

I tak skończył jeden po drugim, trwało to niemal cztery godziny, przerażająco monotonne. Dziś może się wydawać dziwne, że żaden ze świadków epoki relacjonujących tę scenę nie wspomina o uderzającym kontraście między prymitywną rzezią rozgrywaną się przed staromiejskim ratuszem od strony wschodniej a owym subtelnym, wymyślnym arcydziełem techniki, astronomicznym zegarem, który błyszczał w pełnej krasie na ścianie południowej w odległości kilku kroków². Trudno też raczej ocenić, ilu widzów śledziło to krwawe wydarzenie – wśród nich wielu krewnych ofiar – a jeszcze mniej wiemy o tym, czy tłum reagował smutkiem, czy wściekłością. Dopilnowano jednak, żeby nikomu nawet przez myśl nie przeszło zakłócenie rytuału egzekucji. Miał on bowiem wstrząsnąć nie tylko tym miastem, inscenizacja miała podziałać szokowo także na pozostałych przeciwników w całej Europie. Scenę zabezpieczali szerokim kordonem uzbrojeni jeźdźcy i lancknechci, których na modłę wojenną ustawiono w czworobokach. Żadne obelgi ani ostatnie słowa skazańców nie miały szans się przebić przez ogłuszający hałas czyniony niemal bez przerwy, godzina za godziną, przez wielu doboszy, których również ustawiono na Rynku. Wydawało się, że nowi panowie zatykają prażanom usta – tutaj nawet szloch nie mógł się przedrzeć.

Ale to nie oznaczało jeszcze końca upokorzeń, wymyślono kolejne etapy horroru, żeby nikt zbyt szybko nie zapomniał. Szczególnie brutalnie dotknęły one najbardziej wpływowego z wszystkich oskarżonych, wykształconego humanistycznie i aktywnego politycznie medyka Jesseniusa, któremu przed dekapitacją obcięto również język, a jego zwłoki publicznie poćwiartowano. Trzech oskarżonych torturowano jeszcze dłużej, ci nie skończyli na szafocie, tylko dyndali, powoli się dusząc, na stryczkach. Wreszcie dwanaście spośród ściętych głów zatknięto na blankach dawnej cesarskiej wieży mostowej (to akurat podpatrzone u Anglików). Tam pozostały przez pełnych dziesięć lat na oczach mieszkańców Pragi, którzy musieli tłumaczyć dzieciom, co się stało. Koniec lekcji.

Druzgocące klęski również mają wpływ na kształtowanie się zbiorowej świadomości w bardzo długiej perspektywie, to fakt nieowalny, który odgrywał ważną rolę zwłaszcza w dziejach żydostwa i współczesnego syjonizmu. Dobitym przykładem stanowią legendy o Żydzie Szymonie ben Kosibie (zwanym Bar Kochbą, Synem Gwiazdy), który w roku 132 wzniesił powstanie przeciwko rzymskim okupantom w Palestynie. Choć akcja ta ostatecznie skończyła się katastrofą i przypłaciła ją życiem pół miliona Żydów (w tym on sam), Bar Kochba ponad tysiąc osiemset lat później stał się figurą identyfikacyjną żydowskiego oporu, a nawet gwarantem żydowskiej tożsamości narodowej. Przepuszczalnie w znacznym stopniu pomijano tutaj kwestię logiki dziejów: liczy się heroiczny gest, który z daleka wydaje się zastygły w bezruchu, a „my”, stworzone przez tego rodzaju narrację, jest ponadczasowe, to substancja poza historią. Dlatego pytanie, co konkretnie mają wspólnego z „nami” czyny takich bohaterkich figur, omija sedno sprawy: naród jest wieczny.

Równie jałowe są pytania sceptycznie odnoszące się do prawdy historycznej. Wszak historyczne fronty prawie nigdy nie przebiegają tak prosto i przejrzysto, jak wmawiają późniejsze (a czasami bardzo późne) mity. O motywach i celach rzeczywistego Bar Kochby właściwie nic nie wiadomo, a skąpe poszlaki pozwalają co najwyżej przypuszczać, że religijna (auto)sugestia doprowadziła tutaj do politycznie bezsensownego i samobójczego przedsięwzięcia. Mit jednak chce, żeby ci ludzie w pewnym sensie walczyli „za nas”, i dlatego ich czyny mają znaczenie pozaczasowe: jako miara moralna, a nawet jako zobowiązanie do działania. Tego rodzaju presję moralną wykorzystują wirtuozi polityki tożsamościowej począwszy od XIX wieku, to wyrzuty sumienia wobec własnej zbiorowości i strach przed wykluczeniem tak bardzo utrudniają przedarcie się przez wszelkie historyczne uproszczenia, stylizacje i fałszerstwa do rzeczywistości.

Bitwa pod Białą Górą nieopodal Pragi i odprawiona publicznie zemsta zwycięzców to wśród wszelkich klęsk, na których oparły się

mity tożsamościowe, jeden z najbardziej pouczających, ale i oczywiście najbardziej skomplikowanych przykładów – zdarzenie historyczne tak kompleksowe, że bez drastycznych uproszczeń wydaje się zgoła niemożliwe do przekazania. Bezsporne jest jedynie to, że pod Białą Górą rozstrzygnął się los Czech i Moraw i że to rozstrzygnięcie, jak się miało okazać, przetrwało wieki. Ale jakie właściwie rozbieżności zaogniły konflikt, o jakie cele, jakie zasady walczone? O legalność, twierdzili Habsburgowie. O wolność religijną, mówili powstańcy. O wyzwolenie z niemieckiego jarzma, uważali późniejsi czescy nacjonaliści.

Sprzeczne interpretacje były oczywiście od samego początku związane z interesami. Cesarz Ferdynand II musiał na przykład uwzględniać i tolerować paru protestanckich książąt i dlatego nieustrudzenie starał się przeciwdziałać powszechnej opinii, że prowadzi z prażanami wojnę religijną – żeby to uwiarygodnić, kazał nawet stracić katolika na Rynku Staromiejskim, przy czym na rękę było, że kat okazał się protestantem³. Powstańcy natomiast z upodobaniem mówili o religii i domagali się, żeby protestanckie wyznanie nie przynosiło im żadnych strat natury społecznej czy materialnej, i zdecydowanie odrzucali podejrzenia o to, że są przeciwko każdemu silnemu cesarzowi, a więc koniec końców zainteresowani tylko wzrostem własnego znaczenia – również z uwagi na potężnych sojuszników. Czeska historiografia XIX wieku wprzęgła potem te wydarzenia w służbę własnej ideologii narodowej: według niej Habsburgom chodziło przede wszystkim o dominującą pozycję „niemieckości” w Czechach. Czyż w latach po swoim zwycięstwie nie obsadzili „Niemcami” wszystkich ważnych stanowisk w administracji – wbrew czeskiej większości – i czyż nie zapisali w nowej konstytucji krajowej, że język niemiecki ma być odtąd na równi z czeskim?

Do wielu ironicznych zwrotów w historii Czech należy zaliczyć i ten, że w końcu zwyciężyła trzecia interpretacja, zdecydowanie najmniej przekonująca i w najmniejszym stopniu dająca się pogo-

dzić z faktami historycznymi, głosząca, że straceni na Rynku Staromiejskim (z których przynajmniej jedna trzecia była niemieckojęzyczna) pozostali żywi w zbiorowej pamięci nie jako pionierzy swobód obywatelskich ani jako ofiary ucisku religijnego, lecz raczej jako męczennicy narodowi. Biała Góra, z której mrok rozlał się niegdyś na cały kraj, stała się miejscem kultu i celem pielgrzymek czeskich nacjonalistów, a po upadku rządów Habsburgów, który przyniósł Czechom narodową emancypację, wzniesiono tam pomnik. Po pierwszej wojnie światowej zburzono natomiast potężną kolumnę maryjną na Rynku Staromiejskim, postawioną niegdyś przez Habsburgów, by uczcić tyleż brutalną, co skuteczną rekatalizację kraju – a uczynił to pochód czeskich demonstrantów, którzy wcześniej wprawili się w odpowiedni nastrój na Białej Górze⁴. Wpuszczone w bruk krzyże jeszcze dziś zaznaczają na Rynku miejsce, w którym płynęła krew ofiar w 1621 roku.

Mnogość historycznych oznakowań jest niezwykle charakterystyczna dla Pragi, rozciągają się one nad miastem jak sieć, ta wszechobecna i demonstracyjna historyczność, a nawet opętanie historią określało świadomość bytu wykształconego mieszczaństwa zwłaszcza w XIX i na początku XX wieku, kiedy Pragę utożsamiano jeszcze z jej starym centrum. „Każdy dom”, tak wspominał Johannes Urzidil, „każda uliczka, każdy plac w Pradze ustawicznie przywoływał całą historię: «Nie zapomnij o tym! Nie zapomnij o tamtym!», żeby przez samo to pamiętanie i z żądzdy odwetu prawie zapomnieć o aktualnym życiu”⁵. Było to dręczące uczucie omotania pajęczyną historycznych konfliktów i odpowiedzialności oraz przymusu ciągłego chronienia własnego życia przed działającym poniekąd z przeszłości polem sił, dopóki przebywa się w tym miejscu. A uczucie to znacząco intensyfikował całościowy obraz starej Pragi, w której na niewielkiej przestrzeni widoczne były, a nawet demonstracyjnie nakładały się na siebie i krzyżowały ze sobą style panujące w różnych epokach, nierzadko w kształcie i fasadzie jednego budynku. Można było odnieść wrażenie, że człowiek żyje na ułożonych na siebie warstwach kilkudziesięciu minionych pokoleń, których losy, cierpie-